

KUBEK

Poranna kawa, niezbędna towarzyska przebudzenia, dobudzenia, rozbudzenia, znak powrotu do żywych.

Zaczyna się dzień, kolejny z wielu. Niezmienne taki sam jak wczoraj.

Każdy łyk przybliża mnie do otwierającego się przede mną bezkresnego dna. Zmieniam kubki przypadkowo każdego poranka, ale dno jest nieodmienne, niezależne od pochodzenia czy koloru kubka.

Codziennie odnajduję te same obrazy, choćbym nie wiem jak często zmieniał te kawowe pojemniki czy zaczynał jeszcze raz na nowo przecieranie i otwieranie oczu.

Kolejny zimny już łyk doprowadza nieodwołalnie do dna. Czeka ono na mnie wytrwale. Nie da się oszukać. Kiedy do niego docieram, spoglądam prosto w twarz wyrytą tam na spodzie. Widzę siebie.

To już trzysta pięćdziesiąty dzień. Wiem, odliczam je, zaznaczam na kartce z kalendarza. Ten na dnie nie udaje, nie igra z zakłamaniami, zero hipokryzji. Czasem nie dopijam, specjalnie zostawiam pół kubka albo nieco mniej, by tego z dna nie widzieć, by nie zostać z nim sam na sam, przede wszystkim z jego prawdą o mnie. Samego siebie najłatwiej wprowadzić w błąd, dając namiastkę nieistotnego kłamstwa, byle się czegoś uchwycić. Ułuda. Pozory. Miraże.

Mówi, że już tak długo tkwię bez reakcji. Że się poddałem. Co jest w tym złego, że żyję dla siebie? Nie przeszkadzam innym, a ci inni nie ingerują w moją egzystencję. Nie krzywdzę nikogo takim funkcjonowaniem.

A tak chcieli wszystko wiedzieć. Szczególnie w pracy powtarzające się w kółko natrętne



pytania: „Co u ciebie?” – zagadywali. „A co ci do tego?” – myślałem, nie mówiąc głośno. Trzeba było zachować pozory. „Co dzisiaj robisz?” – nie odpuszczali. „Jak się czujesz? Wyglądasz dość blado”. „Widziałeś ten reportaż o Chinach?”. I bla, bla, bla, bla.

Nie słuchałem. Ubierałem twarz w wytresowane miny, udając grzecznie wyuczzone zainteresowanie. Tylko sporadycznie wypowiadałem jakieś idiotyczne banały, myśląc: „A co mnie, kurwa, Chiny obchodzą”.

„Słyszałeś, jak naszej księgowej się zachorowało?” – to już opowieść z innego równie pasjonującego dnia. „Ma jakieś kamienie i nie może ich urodzić. Pewnie za dużo pije, bo ona to za kołnierz nie wylewa. Pamiętasz, jak na bankiecie...” I bla, bla, bla, bla. Kiedy to się skończy? Co mnie to obchodzi?

Szybko chwyciłem się biurka, udając wybitnie zajętego. Pracę najlepiej wykonuję sam, nie będę kolejny raz odwałał roboty za tę bandę nieudaczników.

Codziennie dręczyli mnie natrętnymi pytaniami, dociekliwymi spojrzeniami, ciągle otwartymi gębami, które tak właściwie nic nie wyrażały. Bla, bla, bla. Sztuczność, iluzja, hipokryzja. „A niech się, kurwa, w końcu zajmą własnymi tyłkami” – myślałem podrażniony i odsuwałem się coraz bardziej. Więcej czytałem, błąkałem się po parku, byle dalej od bla, bla, bla. Nie pomagało. Szukali mnie, dopadali i bombardowali informacjami, sensacjami tygodnia i plotami.

Kolejna afera wśród pracowników: ekonomistka przepała się z odpowiedzialnym z działu kadr. Tak, tym małym łysawym. Kadrowy spił się na kolacji służbowej, a młody kierownicy dyrektora ma coś wspólnego z narkotykami i bla, bla, bla.

Brawo! Kolejne sensacje znalezione i wywlezione. Informacje zastępcze, bo te własne trzeba głęboko skrywać, by nie wypłynęły na światło dzienne. Tak wygodniej, bezpieczniej zająć się innymi. Kurwa, i tak dzień za dniem.

Wyczułem jej obecność podczas babiego lata. Słońce zaglądało dyskretnie przez kolorowy witraż i rozświetlało biurko na piętrze po prawej stronie. Pewnie dlatego jej twarz mieniła się tysiącami błyszczących promieni. Bez wątpliwości nazwałem ją tęczową istotą.

Zazwyczaj siadała bezszelestnie i zatapiała się w kolejne zdania, akapity, rozdziały. Trwała tak nieruchomo przez godziny, by zniknąć wieczorami. Czasem przybliżałem się, czasem tylko podziwiałem ten niecodzienny widok. Nie przeszkadzaliśmy sobie. Wylegiwałem się ogrzewany ciepłem słońca i jej delikatnej dłoni. Zdarzało się, że ocierałem się o nią, nasiąkając jej odurzającym zapachem. Zanurzała bezmyślnie swą małą dłoń w mojej czarnej kociej sierści skupiona na tekście. Mruczałem z przyjemności. Prężyłem się i przeciągałem rozkosznie pod naciskiem jej dłoni. Nie miałem dotychczas nikogo bliskiego. W kociej rodzinie nie funkcjonowałem zbyt dobrze. „Przeciętne kociśko” – mawiano. Nie miałem wielu przyjaciół,

za bardzo chodziłem własnymi drogami. Żyłem obok. Przy nikim nigdy wcześniej nie zaznałem słodczy bliskości. Czasem wyciągnięty na parapacie ogrzewałem się ciepłem dnia i po prostu patrzyłem z zachwytem, zachowując należyty dystans. Świat mógłby przestać istnieć lub się zatrzymać właśnie w tym momencie. Wiedziałem – skąd, nie wiem – ale miałem tę niezaprzeczalną pewność, że ona wie, co czuję, co myślę. Tak oto bez wstępnych sygnałów stała się treścią moich kocich dni, niewypowiedzianymi i niezapisanymi nigdzie wcześniej słowami, obrazem zatrzymanym pod powiekami zielonawych oczu.

Emanowała siłą połączoną z delikatnością, inteligencją przesyconą czułością. Zjawiskowe połączenie.

Aż jakiegoś dnia szarawo-brudnego, zupełnie bez zapowiedzi, krzesło opustoszało. Nieoczekiwanie, tak po prostu uderzyło pustką. Dotykałem z czułością jej nieobecność. Tulilem tylko wszechwładną ciszę. Przestałem liczyć

czas, czy go dostrzegać w ogóle. Czułem za to regularnie lodowatą przestrzeń roztaczającą się dookoła i wokół mnie. Moja postać też się rozmazywała. Stałem się niewyraźny. Straciłem kontrast.

Zamknąłem się w zwyczajnym, prostackim życiu. Codziennosc stała się moim schronieniem. W dzień setki bezsensownych wymyślanych na siłę zajęć, przeciągające się w nieskończoność spaceru, polowania na myszy, wspinaczki po płotach, byle nie myśleć. W nocy reakcja na cały dzień pełen stresów, napięć, natrętnych myśli. Trzeba je zagłuszyć, stłumić. Zatem rzucałem się na jedzenie. Sztuką jest wytrwać w zwyczajności. Ona odeszła, ale ja nie mogłem odejść od siebie. Gdziekolwiek uciekałem, niezmiennie zabierałem tam siebie.

Chciałem już zamknąć dzień, by owinąć się mroczną ciszą. O czym myślały koty o drugiej, trzeciej czy czwartej nad ranem? O drugiej krzyżące tęsknoty doskwierają, bołą natrętnie, o trzeciej pojawia się namiastka nadziei,

a od czwartej rozpoczynasz walkę z miążdżącą rozpaczą. Trudno je rozdzielić, jedna przechodzi w drugą. Wstawałem najczęściej bez kawałka serca. Rozbity na tysięczne niepasujące do siebie elementy. Jadłem zamknięty w czterech ścianach. Jadłem potem, kiedy wszyscy spali. Jadłem w ukryciu. Miałem dni dobre i złe. Te złe wypełniałem jedzeniem, rzucaniem się barba-ryńsko na posiłki, jakiegokolwiek. Co dwie godziny musiałem ewakuować złe emocje. Pożerałem potrawy przygotowane starannie w ciągu jednej minuty, właściwie byle jak. Pochłaniałem z wilczym nieokiełznanym apetytem wszystko, co było dostępne. Wypełniałem samotność wypełnianiem żołądka, aż do obrzydzenia. Jakże nie lubiłem siebie. Słaby. Grube, odrażające kocisko. Nie powinienem jeść. Wiem. Nie panuję nad tym. Od lat nie umiem sobie niczego odmówić: siedem ryb, pięć, nie, nawet osiem myszy, na deser kilka śmietnikowych batoników. Jem, jem, jem. Zapycham się, by potem czuć obrzydzenie. Jakże nie cierpiałem siebie. Zdarzało mi

się w nagłym przypiływie wkradać do sklepów i magazynów, by tam na miejscu objadać się aż do wymiotów.

Takie epizody pojawiały się coraz częściej. Mówiłem, że to nic. Okłamywałem siebie. By zaraz potem wpaść w nadmierne odchudzanie, szał ćwiczeń, bieganie po płotach, przeskakiwanie z gałęzi na inne wyższe, wdrapywanie się na szczyty. Ambitne postanowienia, niestety, tylko chwilowe. Wszystko to, by odzyskać nieco kontroli nad obolałym ciałem. Zaraz potem jadłem, jadłem, jadłem. Stawałem się ospały, osowiały, bolała mnie głowa. Nawet skóra zrobiła się mniej wrażliwa, jakaś wysuszona.

Czy ona była istotą z krwi i kości? Czy tylko moim urojeniem? Nieuchwytnym marzeniem? Przecież pamiętam jej dotyk, moja sierść go zakodowała. Ściskam jej drobne ciało zapamiętane na krześle. Ocieram się o włosy, o policzki. Zachłannie wdycham zapach. Tęsknota tak przeraźliwie krzycząca wypełnia mnie po brzegi. Muszę ją uspokoić, nakarmić. Rzucam

się kolejny już raz na jedzenie. Nie wiem, co pochłaniam. Nie ma to znaczenia. Wszystko znika w zabójczym tempie. Bez smaku, bez formy. Jem więcej, niż tego potrzebuję. Wiem. Ale za każdym razem moja wewnętrzna granica się przesuwa. Wyglądam jak nabrzmiały worek wypchany śmieciami. Brakuje mi sił. Oddycham ciężko. Jestem inny. Zmieniam miejsca, zawiodłem rodzinę, wyrzucam marzenia. Uciekam od siebie.

Czy ja ją kochałem? Gdy odeszła, czy moja miłość poszła razem z nią? Czy też później żyła swoim własnym życiem? Czy przeszła na drugą stronę na zielonym świetle? Czy mogłem zapalić czerwone, by została? Schowałem się jeszcze głębiej w moim opakowaniu, pozostała tylko stara, umęczona, szorstka powłoka.

Opuściłem na długo moją biblioteczną przestrzeń, żeby nie bolało. Nie wracałem. Ale nie wystarczy odejść, by stać się szczęśliwym. Odszedłem w towarzystwie smutku. Nie potrafiłem zatrzasnąć za nim drzwi. Czasem w dobre

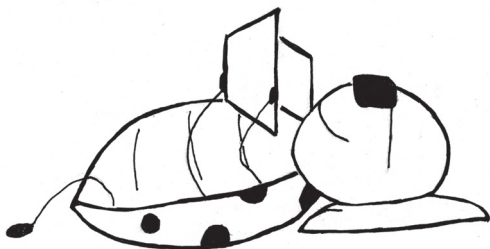
A publiczność nagradzała oklaskami każdą scenę z idiotką w roli głównej.

* * *

Czym stało się moje życie? Trwaniem od wschodu do zachodu słońca. Modlitwą wieczorną i poranną. Wspomnieniem lotu donikąd. Oddechem przed i po. Zatrzymaną kroplą spływającą po pancerzu. Spojrzeniem pełnym zachwytu nad kolorowymi chaszczami i bólem wbijanego kolca.

Gdzie zniknęłam? W którym momencie się rozmazałam? Może wraz z przeciągającym się deszczem?

A ten pada dookoła i wewnątrz kuli. Pewnego dnia marzenie nabrało kształtu i wymknęło się spod kontroli kaktusa i mojej własnej. Kiedy nikt się tego nie spodziewał. Wtedy uformowała się Kula – mój świat na uboczu. Ta nowo stworzona przestrzeń stała się diabelsko ekscytująca. Kąpiel bez niego i jego raniących słów.



Nieziemsko oddalona. Coś mówił jeszcze, ale to już nie dobiegało do moich receptorów. Raj. W końcu. Unoszę się w letniej wodzie do woli. Do zapomnienia. Nawet nie potrzebuję zamykać drzwi, przecież ich nie ma w Kuli. Czas się tu nie liczy, nie istnieje granica między dniem a nocą, między porannym poskładaniem kropek a wieczornym ich porządkowaniem. Nie ma publiczności. Jestem JA, JA i JA. Zgromadziłam skrupulatnie wszystko, co stanowiło mnie sprzed epoki kaktusa. Szaleństwo, a ja w nim.

Sięgam jak zwykle po lustro. Czy jest ono dowodem pychy, egocentryzmu, czy potężnym

narzędziem czarodziejskim? Stopniowo nauczyłam się lubić ten obraz z drugiej strony. Otaczałam go troskliwością i łagodnością. Jeśli potrafiłam na nowo nazwać kolejne elementy stanowiące mnie – biedronkę – automatycznie przestawały być obce i nieznanne. Ból, który można nazwać, jest bólem lżejszym do zniesienia. I cała reszta znika jak za magicznym działaniem pędzla, który koloruje na nowo odłożone w niepamięć obrazy.

Obserwuję własne myśli. To rozkoszne. Nareszcie zrozumiałam, że kaktus nie ma mocy, by mi zabrać kąpiący rytmicznie deszcz, rozmazać widok muchy kierującej się w stronę światła czy kołującego na wietrze liścia.

Stopniowo i systematycznie oczyściłam siebie z błędnych opinii, nabrałam dystansu. Przestałam okłamywać samą siebie. Własna samoświadomość jest kluczem i drogą do wolności. Stworzona kula to prawdziwa fabryka cudów.

Moje siedem kropek odrywa się od czarownej powłoki i przemieszcza, kręcąc się żwawo

dookoła. Później, jeszcze nie teraz, pozbieram je i poukładam od nowa, zupełnie od nowego początku.

LIŚCIE

Zbieracz liści. Tak mnie znają i nazywają w okolicy. Gromadzę spadające, zmęczone, zapomniane lub odnalezione przypadkiem części drzew. A liście wirują i wirują, wywołując nieprzewidywalne zawroty głowy.

A było to tak...

Namiętnie intrygowały mnie liście, właściwie od zawsze. Godzinami obserwowałem je z mojej parkowej perspektywy, by nazwać ich tajemniczość. Niepowtarzalne, niebanalne, przez to jakże intrygujące. Chciałem je posiąść wszystkie, dokładnie wszystkie, co do jednego. Krążyłem nieustannie po parku. Czasem widywałem tego drugiego z naprzeciwka.

Stał nieodmiennie w miejscu tylko z jednym zabiedzonym, nadwyrężonym liściem jesionowym, kołysząc go cierpliwie ze wzruszającym ciepłem. Dziwak.

Moja parkowa wędrownka usłana była różnorodnymi liśćmi. Każdy innego koloru, kształtu, odmiennej tekstury. Zatrzymywały w sobie niecodzienną, indywidualną historię. Bywało, że spadały tuż obok, jakby same się pchały w objęcia. Wtedy badałem je z bliska. Dotykałem z wyczuciem. Wdychałem zapach. Zatrzymywałem z tkliwością.

Przyzwyczajałem się do ich niezwykłości. Zrozumiałem, że niektóre były nadwyrężone, jakby sfatygowane czasem, lotem, przebytą drogą. Inne skakały żwawo, jakby ich zawirowany czas się zatrzymał. Wtedy mój też nieruchomiał w tym samym dokładnie momencie. Czas upływający, mijający nieopstrzeżenie, nieubłaganie. Nieraz prosiłem, by zwolnił, pozwolił odurzyć się chwilą. Zamierałem w bezruchu i ciszy. Ale on wyrwał się

nieubłaganie i ciągle gdzieś pędził na oślep przed siebie, w nieznane, jakby tam czekało coś odmiennego, bardziej kuszącego. Tam? Gdzie? W jakim miejscu? Z kim? W jakim celu? Po prostu TAM. Gnał więc przed siebie, spieszył się, byle szybciej TAM dotrzeć. Lecz za każdym razem TAM stawało się nieuchwytnie. Zgubna iluzja czy oszustwo? Ulatywało wraz z babim latem. A Tu i Teraz traciło bezpowrotnie swą moc, nie nabierało właściwej wartości. Z dnia na dzień moja fascynacja liśćmi rosła. Kontakt z nimi to prawdziwa przygoda, ale i niezwykle wyzwanie dla zbieracza.

Jedne popychała jakby niewidzialna wewnętrzna siła, a wydawały się słabowite, nieco anemiczne. Inne spiesznie mijały się w drodze, sprawiając wrażenie obojętnych.

Klonowe czepiały się wszystkich dookoła, jakby wyczuwały smutek czy cierpienie. Kto to wie? Leszczynowe nieco przygnębione, zachowywały się, jakby ich życie się skończyło. Nie cieszyły się, przestały wirować, opadając spokojnie

bez emocji, by się pokurczyć i wyschnąć na dobre. Ale można też było uchwycić w ruchu te niesamowite, od których promieniowała zarażająca wprost radość. Cały park natychmiast weselał i stawał się bardziej kolorowy. Przy tych zatrzymywałem się na dłużej. Oczarowywały energią, wtedy i ja wybuchałem nagromadzoną siłą. Wzrastała moja radość poznania, obcowania. One potrafią natchnąć dobrą myślą, popychają do czynu, jakby spieszyły na pomoc tym, które natrętnie szukają minionego dnia, ulotnej myśli, przemijającej historii. Taka jedna opowieść potrafi rzucić w niepamięć całe misternie skonstruowane życie. I nie będzie już powrotu. I nie będzie już jutra. Można się uchwycić drugiej czy trzeciej, czy po prostu kolejnej szansy. Pozwolić sobie na TU i TERAZ. Jeden deszczowy dzień nie czyni deszczowymi wszystkich następnych w roku.

Kołuje nade mną kolejny liść, nieco posrebrzany, unoszony oddechem kojącego subtelnego wiatru. Kołyszę go spokojnie, bezpiecznie

jak troskliwe ramiona matki. Ale tuż obok fałuje dystygowanie inny, nieco czerwony w słońcu, o brzegu falowanym, asymetrycznym. I już moje spragnione spojrzenie niekontrolowanie biegnie w tę drugą stronę. Wiatrowe zawirowanie liści bukowych, lipowych, dębowych, klonowych czy jeszcze innych.

A każdy z nich niecodzienny. Przy którym się zatrzymać na dłużej? Można je poklasyfikować według kolorów, kształtów, tekstury: błyszczące, matowe, pełne nerwów, z dużymi ząbkami, głęboko owłosione, nieco trójkątne. Młode są lepkie, czepiają się wszystkiego, zachwycone nowym, jeszcze niezbadanym. Wypełnione marzeniami cieszą się małymi oczywistościami. Jeszcze chcą lecieć dalej i wyżej. I te starsze, co to tkwią w miejscu wiecznie niezadowolone, pasywne. Pozbawione energii. Nie robią nic, zupełnie nic, by jeszcze raz polecieć z wiatrem, choć mają świadomość, że tylko on, ten nieoczekiwany, zaskakujący wir może je zabrać w niezwykłą podróż.

Obserwowałem je wnikliwie. Każdego z osobna i wszystkie razem. Liście kryją swoiste zagadki. Odkrywałem ich świat całe życie. Czy straciłem czas?



Kiedyś, nie pamiętam kiedy, chciałem, by niebo było lazuruowe, by drzewo stało się turkusowe, liście nabrały barw tęczy, ściana dookoła parku stała się fioletowa, by pies miał pięć czy sześć łap, a żaba – by skakała.

Teraz wiem, że nie trzeba się doszukiwać szczególnego znaczenia we wszystkim, co widzisz, i czasem niebo ma być zwyczajnie niebieskawe, drzewo po prostu zielone, liście pospolicie brązowe lub pożółkłe, ściana może być biała, a pies ma mieć cztery łapy, nie potrzebuje więcej, żaba ma skakać, a nie latać.

Teraz przyjmuję rzeczy, jakimi są. Tak jest bezpiecznie, wystarczająco. To dobra oczywistość.

Liście to tajemnica. Poświęcam im całe życie. Chciałem nieodparcie posiąść je wszystkie razem. Zatrzymać, napawać swoje spojrzenie, namiętnie dotykać, czule szeptać niewypowiedziane słowa. Współistnieć z nimi. Ale one się nie zgadzały na dzielenie. Każdy chciał być wyjątkowy. Naciskały, bym wybrał tylko